№ 17.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1842. Poznań, dnia 17. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Serb Śpiewak.

POWIEŚĆ

przez

B. P.

(Ciąg dalszy.)

2.

Goliński rozmarzony winem i gniewem, rzucił się ubrany w swojém pomieszkaniu na tapczan kobiercem okryty. Nie zaraz jednak usnął; bo jemu palestrantowi obelga przez mieszczan wyrządzona ciążyła na sercu jak zbrodnia.

Niebo od wschodu zaczęło się rumienić, do izby wdzierało się lekkie światło, kiedy do drzwi ktoś silnie zapukał. Śpiący porwał się z posłania — pełen myśli wczorajszéj kłótni chwycił za szablę wiszącą na makacie nad tapczanem, i zawołał: »wchódź.«

Wszedł młodzieniec w ciemnéj sukiennéj kapocie, skrzypce i kobza przez ramię przewieszone, a pies mały przy jego nogach.

»Toś ty Serbie« krzyknął na wchodzącego. »Przychodzisz mię zbudzać dla tego tynfa com ci wczoraj obiecał.« I sięgnął do skórzanéj kaletki, wyjął z niéj śrebrny pieniądz, cisnął go na ziemię, a pies go podjął i podał panu, widać że w ten sposób nieraz jałmużnę odbierają.

«Chcę wam ważną rzecz odkryć« odrzekł Serb spokojnie. »Po tynfa nie przyszedłem« i złożył go na stole.

»Gadajże!»

»Ale pierwéj przyrzeczcie mi, ża Basia Kuszlówna będzie moją.«

»Zuchwalcze!« wrzasnął Goliński. »I ty mi chcesz przymawiać,« i dłoń ściśniętą wzniósł nad Serba głowę. Ale ten nie ulakł się wcale tego gniewu, czekał aż ta burza przeminie, głowę nawet nachylił, jakby był gotów przyjąć uderzenie i ze spokojnością wyrzekł:

»Kuszel, ojciec Basi, to z waszéj wsi poddany.« Goliński zbliżył się ku niemu, spoglądał mu w oczy jakby słowom jego nie wierzył, i wyrzekł zdziwiony:

»Kuszel poddany z naszéj wsi — a to jak! kłamiesz włóczęgo, chcesz sobie żarty ze mnie stroić!«

Ale Serb igrał z jego gniewem jak majtek z nawałnicą, nie cofnął się przed zachmurzoném obliczem, nie zmienił postawy, i powtórzył śmiało.

»Pierwéj chcę wiedzieć, czy Basia będzie moją.«

»Moje szlacheckie słowo że będzie twoją, jeżeli prawdę mówisz, ale biada jeżeli kłamiesz« i pogroził mu pięścią.

»Przysięgam na Boga i Matkę Zbawiciela że mówię prawdę. — Posłuchajcie jak się to stało. Jeszcze Kuszel był chłopięciem, bo dwadzieścia i pięć lat temu jak uszedł z waszéj wsi. Był tu w Poznaniu na targu i kmieć z Jeżyc nazwiskiem Kuszel namówił go sobie, przechowywał w mieście, a potém wziął do domu. W kilka lat widząc że pracowity i dobry, ożenił go z córką i oddał gospodarstwo.«

Goliński przez chwilę milczał, i wąsa kręcił, a potem rzekł złagodzonym głosem:

»Dziś jadę do brata, wyprawia imieniny żoninéj ciotce, przyidź tam, zaśpiewasz gościom.«

Serb skinął głową i wyszedł, a w Golińskiego oczach zabłysła piekielna radość, czoło się jednak nie rozchmurzyło, choć sobie w myśli powtarzał:

»ukarzę ich, poznają co szlachcic może« — i plany snuły się po głowie. Spiesznie chodził po izbie, ręką machał, kiedy wszedł sędzic w podróżnym ubiorze. Goliński poczerwieniał, bystro spojrzał na niego czy tam nie dojrzy jakiego uśmiechu, a jego twarz zachmurzona pokazywała, że nie tak łatwo żartu posłucha.

Lecz do sędzica szlachetnego oblicza szyderstwo wcale nie przypadało — oburzały go nie raz Golińskiego postępki, wymawiał mu je, ale jego uwagi zawsze z goryczą były odpychane. Mimo ten rostrój serc często byli z sobą, przyzwyczajenie zapełniało przestrzeń między ich uczuciami. — Pokrewnieni, z dzieciństwa w sąsiedztwie, razem w szkołach, jeden zawód obrali w życiu. — Wszystkie te stósunki stanowiły jakiś węzeł między nimi, którego Goliński niechciał, a sędzic choć się już dawno gotował, nie śmiał jednak rozerwać.

I w téj chwili radzi by się uniknąć, a jednak dawny nałóg sprowadził ich razem.

»Czy jedziemy?« zapytał sędzic; nie spojrzawszy nawet na Golińskiego.

»Zaraz« odbąknął ten, i po chwili puścili się konno gościńcem ku Kościanowi, a pachołcy z tłumakami za niemi.

Obadwaj milczeli, choć może każdy z innych powodów. Sędzic nie pragnął rozmowy, bo to był jeden z tych pięknych ranków wiosennych, że spojrzawszy w oblicze przyrody, mimowolnie zatapiamy się w marzenia. Niebo było czyste jak ślubna suknia dziewczyny, ziemia niby rosą spłakana, zdawała się uśmiechać do słońca, które co się tylko zaczęło z lasów wysuwać.

Sędzic z utęsknieniem spoglądał koło siebie, szukał drugiego co by z nim dzielił natchnienie i spojrzał ku Golińskiemu, lecz tego wyraz twarzy tak dziwnie odbijał przy jego wymarzonym świecie, że się od niego odwrócił jak żeglarz od skały, bojąc się o rozbicie swych uczuć. Bo Goliński był w innym świecie. Nic nie widział i nie czuł, tylko wczorajszą zniewagę — ona była u niego w sercu i głowie, widział ją na ziemi i niebie — czasem tylko myśl »ukarzę ich« jak błyskawica rozdarła chmury jego czoła »kto wie czy się uda« i znów się zapłonił gniewem, konia naglił ostrogą, choć ten go niósł jak strzała.

Po kilko godzinnéj jeździe, stanęli przed wysokiemi wrotami wsi dziedzicznéj braci Golińskich. Goście się jeszcze nie zjeżdżali, dla tego zamknięte. Psy podworzowe chórem zaszczekały, a we drzwiach dworu, na których jaśniał malowany w żywych kolorach herb rodzinny, ukazał się pan stolnik Goliński, w strojnym żupanie i kontuszu. Przybyli zeskoczyli z koni, a on ich serdecznie ucałował, i wprowadził do dużéj sieni wapnem wybielonéj i starannie piaskiem i tatarakiem potrząśniętéj, a tam ztąd do jadalnéj izby, która razem była i gościnną. Sędzic wziął się do ubierania, a bracia Golińscy wyszli.

3.

Koło południa zachodzą przededwór kolebki, rydwany i kolasy, sześcio- i cztero-konne, a wszystko z forysiami. W tyle i po stopniach stoją pajuki, węgrzynki, i inna liberya. Panny wysiadając nie upatrywały ile pojazdów w podwórzu wyprzągają, tylko czy przy słupach dużo koni wierzchowych stoi, bo wstyd było dla młodzieńca rycerskiego stanu jechać w kolebce jakoby niewiasta.

Hucznie obchodzono imieniny ciotki, u stołu gęste zdrowia spełniają a na podwórzu z moździerzy walą. Lecz solenizantka bezdzietna, ładny mająteczek trzyma w ręku. Szepnął też sąsiad przy stole gospodarzowi do ucha. »Panie stolniku chojnie nas częstujecie, ale wiedział święty Piotr za co sobie dał urznąć płaszcza.«

Choć wśród tak gwarnéj wesołości, Goliński jednak jakiś zasępiony, często spogląda z niespokojnością w drzwi izby na róścierz otwarte dla gorąca i ustawnego wychodzenia służby.

Na raz rozchmurzył posępne lica, nikt z przytomnych by nie zgadł że tę zmianę zrobił Serb włóczęga, który pyłem i potem okryty, zasiadł w téj chwili między muzyką i smyczkiem po stronach wodzi.

Skończył się objad i w bawialnéj izbie już od dwóch godzin tańcują, ściągają jedwabne patynki, w nich stawiają kielichy pijąc za zdrowie pięknéj. Drudzy nawet z zbytecznego ku damie afektu z samego patynka spełniają wiwaty i jak dawniéj rycerze na klęczkach zwilżony trzewiczek wdziewają. Lecz choć teraz jakby dla igraszki ścielą się pod stopy niewieście, nie próżno jednak ich dłonie pieszczą żelazo karabeli, bo biada téj, któraby się w codziennéem życiu ośmieliła opierać kaprysowi swego męża i pana.

Serba między muzyką nie było, Goliński wstając od stołu szepnął mu: »Czekaj pod klonem nad stawem.« Pewnie mu łaskę uczynił, gdyż wyglądał jak widmo wśród téj wesołości.

Siedzi on teraz na darni plecami o drzewo oparty, palce splecione, lica wybladłe, głowa pochylona ku piersiom. Pies przy nim leży i smutnie w oczy zagląda, raz po raz rękę mu liże, on go jednak nie pogładzi, nie przemówi pieszczącym głosem —

niekiedy tylko ciężkie westchnienie wydobędzie się z piersi i lekki rumieniec przeleci po licach.

»Któż jest ten Serb włóczęga?« nie raz sobie powtarzają kiedy on śpiewa. Ale chyba jego pies nieodstępny towarzysz mógł by to wiedzieć, bo często do niego obcą mową przemawia, a gdy go się kto zapyta o jego rodzinę i dziecinne lata, chwyci za kobzę, i ta wydaje jakieś dzikie tony. Jednak przeszłéj jesieni wyspowiadał wszystko Basi Kuszlownie.

Śpiewał przed chatką jéj rodziców, wszyscy już zasypiali a ona go jeszcze słuchała. — Serb patrzał raz w księżyc, to znów w twarz dziewczyny, i wiecznie chciałby tak śpiewać. Ale Basia badała go o jego życie — on się nie zbraniał — nawet się niezachmurzył, i tak opowiadał:

»Pamiętam duży dom w mieście, jedwabne obicia po ścianach, bławatne szaty u matki, śrebrne guziki przy sukniach ojca, i w stajni konie przykryte kobiercami. Na ulicach wielki zgiełk powstał — niewiasty krzyczały, mężczyźni uzbrojeni, milczący chodzili, a pod wieczór łuna oświeciła całe miasto. Ojciec wybiegł z domu — nie długo krzyk — Ałłah! Ałłah! — rozległ się po ulicach; wyjrzałem oknem, aż ciemno było od zawojów i szabel — konie lusem biegały, krew się strumieniami lała. Ojciec z zbroczonym mieczem wpadł do izby, matkę i siostry uścisnął, mnie pochwycił, i krwią płynącą z rany zrobił krzyż na czole »»Chłopcze! pamiętaj żeś chrześcianinem.«« Ledwie te słowa wymówił, poległ pod razami tureckich szabel. Mnie pochwycił Turek za włosy, wyniósł przed dom, wsadził w worek i przywiązał do siodła. Niewiem jak długom tam siedział, pamiętam tylko że z pieszczot rodzicielskich przeszedłem na niewolnika. Ale pamięć przeszłości nigdy się nie zatarła, i słowa ojca długo w uszach brzmiały, a w myśli na zawsze utkwiły. Poniewierany, niekochany od nikogo, żyłem do lat dwunastu. W dzień tylko żegnałem się krzyżem świętym, zatruwałem wody, podkładałem ognie, i rosłem w zemście! Turek przywiódł w niewolę starego Serba śpiewaka, z nim uszedłem do ojczyzny, on mię uczył pieśni, i uczył kochać ludzi, których dotąd umiałem tylko nienawidzieć. Długo się po ojczyznie tułałem, serce mi się krajało patrząc na jéj niewolę. Wyszedłem ze starym Serbem, żeby nasze poniżenie opowiadać po sławiańskich ludach — żeby w nich zbudzić użalenie się nad nami, i podanie bratniéj ręki do wybicia się z niewoli. On umarł, już trzy lata, nikt mię nie kocha chyba ten pies com go znalazł na drodze jako sierotę i ogrzewał ciepłem moich piersi.«

Serb zamilkł i patrzał w oczy dziewczynie, śledził czy tam nie dojrzy miłości. On jéj niósł największą ofiarę, bo całą boleść swego życia wyrywał z dna serca, i znów je zakrwawiał na długo — lecz w jéj twarzy nic nie dojrzał tylko litość. Mówił jéj słowa miłości, i odbierał za nie zimną obojętność. Basia odeszła, a w śpiewaka duszy obudziło się piekło jego lat dziecinnych — znów uwierzył w złość świata, bo ciągle poniewierany, przemarnował inne uczucia. Tylko miłość ku Basi była jedyną iskrą która mu dobrą stronę w ludziach wyświecała. Teraz iskra zdmuchnięta, a on uwierzył że w zbrodni można roskosz znaleść — i został szatanem.

Serb gorzko teraz marzył, kiedy go ktoś silnie za ramię powchycił, i zielone wyloty musnęły mu po twarzy. Obrócił głowę, i ujrzał podgolone czoło Golińskiego, oblane potem wina i tańca.

Porwał się na nogi, przetarł dłonią oczy i skronie, jak gdyby ze snu powstał.

»Serbie« rzekł półgłosem Goliński »gdzie pewność że Kuszel nasz poddany?«

»Że Kuszel wasz poddany« powtórzył Serb, głowę pochylił ku piersiom i zamilkł.

Goliński wstrząsnął nim silnie mówiąc: »Nie powiesz? Dobrze! więc Basię Bolcz weźmie.«

Serb nagle podniósł czoło, obłąkanym wzrokiem spoglądał na stojącego, i mówił grobowym głosem:

»Zna go stary Klecha z parafii, wie że tu stąd rodzic; nie dawno widział go w Poznaniu i dopytywał się o znajomych i krewnych.«

»Słuchaj Serbie! jeżeli go zabierzemy Basia twoją — radź jak ją dostać — bo jeżeli już będzie po ślubie . . . . .«

Serb nie dał mu dokończyć i zawołał: »Więc ona moją!« I lekki rumieniec przebiegł wybladłe lica, i coś na kształt uśmiechu mignęło na ustach. »Mości Goliński« kończył drżącym ale spiesznym głosem »trzeba ich zaraz zabrać, bo nim zostanie tą wielką panią, rajcowa kazała jéj z rodziną kilka dni przeżyć, aby widziano że się nie wynosi ze swego szczęścia.« To ostatnie słowo tak cicho wymówił, jakby się sam lękał dosłyszeć jego brzmienia.

»Szczęścia« powtórzył Goliński i głośno się zaśmiał. I Serb się zaśmiał jakby jego echo, lecz twarz tak boleśnie skrzywił, że Goliński się cofnął.

»Więc skończone, dasz znać Serbie kiedy mamy zajechać.«

I wrócił Goliński do komnaty, kilka słów z bratem pomówił, a ten się zbliżył do starszych mężczyzn siedzących przy marmurowym stoliku. Między

nimi srebrny dzban i puhar który z rąk do rąk z winem przechodzi.

»Ha panie stolniku! cóż nam się waszmość tak zwija?« zawołał jeden z siedzących. — »Czy my nie dość spożyli jadła i napoju, że jeszcze koło tego chodzicie.«

»Wszystko u waszmości wyśmienite« rzekł drugi.

»Uniżenie dziękuję waszmość panom, ale kiedy waszą bytnością zaszczycacie mój domek, toć was trzeba przyjąć jak na szlachtę przynależy.«

»Przyjmujecie nas jakby wojewoda, mości stolniku.«

»Bóg mi też tę braterską miłość ku wam wynagradza, bom znalazł to czegom nie szukał, ale mi trzeba w tém waszmościów pomocy.«

»Masz nas z duszą i ciałem panie bracie« odrzekli jednogłośnie.

»Przed wielu laty« mówił stolnik »uszedł nam poddany, bać nie nam, ale naszemu rodzicowi. Mieszczanie poznańscy go przekryli i osadzili na Jeżycach, a my z bratem znaczną szkodę ponosim, bo podobno chłop przemyślny.«

»To go zabrać« zawołało kilka głosów »masz w tém naszą porękę.»

»Mości panowie bracia! wszak tylko rok i sześć niedziel służy prawo odbierania poddanego,« ozwał się sędzic, chłodząc się winem po tańcu.

»Co prawo» — krzyknęli. »Każdy szlachcic nosi prawo przy boku« — i uderzyli rękojeście karabeli.

»Każdego klejnot szlachecki jest prawem na mieszczanina i chłopa« rzekł stolnik. »Albo my to nie zrodzeni do korony? Kto wie może mnie lub którego z waszmościów obiorą królem — wszak król Michał dziś trzy lata ani śnił o koronie.«

»I byłby każdy z nas innym królem, nie taką lalką różowaną jak on« mówili, »aż wstyd pomyśleć, że nam się król maluje, jak zalotna niewiasta.«

»Zawiesił też order hiszpański na szyi« — wmięszał się znów sędzic; »zgromił go też Prymas o te cudzoziemskie błyskotki, boć hańba szlachcicowi w nie się stroić, a cóż dopiero królowi. Wszak za ś. p. króla Władysława, konstytucya infamią piętnowała tego, ktoby po cudzoziemską godność rękę wyciągnął, bo kiedy ktoś przyjmuje zaszczyt, którego rzeczpospolita nie daje, toć zdrajca, bo wyżéj kładzie dawcę nad ojczyznę, i nie wart być obywatelem wolnego narodu.«

»Do waszmości sąsiedzie« rzekł gospodarz, który interessu rzeczypospolitéj nie miał na myśli. »Mówiliście panowia bracia, że mi obiecujecie pomoc, do odebrania poddanego, — nie zaszkodzi też i tych mieszczan Poznańskich ukarać, bo bardzo na kieł biorą.«

»Bronili rzeczypospolitéj jak i my przeciw Szwedowi« odparł sędzic.

»Pewnie waszmość któréj mieszczce służysz, że się tak tniesz za nimi« rzekł stolnik z przekąsem.

»Nie wstydziłbym się choćbym i któréj służył, bo są między niemi zacne i gładkie panienki, ale widzę że naród zbliża się do upadku kiedy dla prywaty prawo idzie w poniewierkę. Za świetnych czasów rzeczypospolitéj, żaden obywatel aniby śmiał o tem pomyśleć.«

»Wypij mości kaznodziejo« — rzekł stolnik, — »zaléj ten zapał, boś do tego stanu jeszcze za młody.«

Całe grono chórem się zaśmiało, a sędzic spojrzał w róg izby ku karabeli. Uspokoił się jednak, ze smutkiem, tylko popatrzał na nich, i poszedł w inną stronę komnaty.

Stolnik wrócił do interessu, a goście przyrzekli szlacheckiém słowem, że się stawią ze swoją służbą do zabrania poddanego. Któż się mógł opierać proźbie gospodarza, którego dobrowolnym był gościem, od którego stołu co tylko powstał, i jeszcze z jednego kubka zapijał. Mimo innych wykroczeń jeszcze wtedy nie byli ogołoceni do tego stopnia z osobistéj godności, żeby śmieli powiedzieć: że tego, w którego dom wchodzą, któremu dłoń przyjazną podają — nienawidzą, i w duszy za nikczemnika mają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z Ameryki.

List Wiktora Ko.......... do rodziców.

(Dokończenie.)

Pierwszy mój krok do domu pani Joanny Sedżuik już był najlepszą wróżbą. Otworzyła mi albowiem drzwi dziewczynka dwunastoletnia tak piękna, ażem osłupiał. Wyobraźcie sobie najdelikatniejsze rysy twarzy przy pięknéj płci i lekkim rumieńcu, kręcące się jasnoblond włosy spadające na ramiona, zęby jak perły i szafirowe oczy, ale jakie! to trudno wyrazić, a będziecie mieć wyobrażenie Fanny Sedżuik. Wprowadziła mię do salonu. Tu dopiero musiałem przywołać napomoc moją angielszczyznę; gdyż pani Joanna nie wiele rozumiała po francuzku. Mięszając więc ile możności te dwa języki a w potrzebie używając mimiki, dałem jéj nakoniec do zrozumienia, kto jestem, i czego

żądam. Panna Sedżuik wyjechała przed kilku dniami z kuzynami i z synowicą do katarakty Niagara. Spodziewano jéj się dopiero za dwa tygodnie; ale zostawiła rozporządzenie względem mnie — t. j. miano mi wynaleść Bording we wsi i miałem się niezwłocznie zająć dawaniem lekcyi. Tymczasem pani Joanna, kobieta rzadkiéj dobroci i którą bardzo pokochałem (pominąwszy że jest matką Fanny) ofiarowała mi stancyą na kilka dni w swym domu. Zapłaciwszy zatem ostatnie dwa Szylingi (pięć złp.) za obiad w oberzy, kazałem przenieść moje rzeczy, składające się z walizki, płaszcza i parasola. Pozwólcie mi teraz zapoznać się z panem Aszpener i jego familią. Ledwiem kilka kroków oddalił się od oberzy zdybuję człowieka w podeszłym już wieku, którego siwe włosy, wychudła i pomarszczona twarz, cery smagławéj, dziwnie kontrastowały z żywością poruszeń i blaskiem oczu. — O dwadzieścia już kroków zaczął mówić do mnie, a raczéj krzyczeć na całą ulicę: »*aha monsieur! vous êtes le nouvau venu! Vous êtes un Polonais! Nous sommes charmes de vous voir dans notre village. Vennez chez moi. Vous trouverez des dames, qui parlent français.*« Podał mi rękę do uściśnienia i prawie gwałtem prowadził. Jednak było coś tak szczerego w jego mowie, tak uprzejmego w jego ułożeniu, iż zdawało mi się, żem go znał przynajmniéj od lat dwudziestu. Z początku po iego trzewikach z prostéj skóry, letnich szarawarach z szarego płótna, perkalowym kaftaniku i słomianym kapeluszu z czarną wstążką, sądziłem, że to był bakalarz wiejski, zabierający znajomość z przyszłym swoim kolegą. Pomimo to było coś w jego rysach nadzwyczaj szlachetnego i nakazującego uszanowanie. Dom jego może o parę set kroków odległy na wzgórku, ma pyszny widok na wieś, rzekę i góry. Przez drogę wypytawał mię o szczegóły naszéj rewolucyi, i nawzajem opowiedział mi o swoim wojażu, lądem z Indyi przez Bagdad, Stambuł, Węgry, Wiedeń i Paryż do Anglii. — Pan Aszpener jest rodem Anglik, w młodości udał się do Indyi, gdzie zrobił majątek, ożenił się, owdowiał i spędził znaczną część życia. Interesa familijne zmusiły go udać się do Ameryki, z synem i trzema córkami, zostawując majątek w Anglii pod zarządem najstarszego syna. Ożenił się powtórnie w Sztokbrydż i odtąd zakupiwszy znaczną część gruntu, założył folwark bardziéj dla rozrywki, aniżeli z potrzeby.

Wprowadził mię do salonu, gdzie zastałem kilka dam zajętych robotą i przeglądaniem pysznéj edycyi widoków Hindostanu. Tu znowu Anglik krzyknął na cały głos: »*Ladies! I have the pleasure to introduce you master Kososko,*« gdyż tak wymawiają moje nazwisko, i ciągle mnie się pytają, czy nie jestem krewny *of general Kosciosko*, a gdyby mi natura udzieliła nieco miedzianego czoła, mógłbym przyznawszy się do tego pokrewieństwa zrobić fortunę. Trzy córki Anglika, Anna, Sara i Gracya uprzejme i najlepiéj wychowane, są piękne każda w innym rodzaju. Najstarsza niezbyt młoda, ale bardzo szlachetnych rysów twarzy. Czarne jak heban włosy, odbijają przy bladéj cerze i czarnym melancholiczném oku, w którym się maluje, jeżeli się nie mylę, jakieś dawno przebyte cierpienie. Średnia, doskonała piękność, ale rysów śmiałych i postawy więcéj męzkiéj, niż kobiecéj. Najmłodsza przeciwnie lękliwa i skromna, do dziecinnéj kibici łączy najdelikatniejszą płeć i czułe i przenikające spojrzenie. Udzielam wam tych szczegółów w nadziei, że nie będą dla was obojętne, gdyż w téj familii, doznałem i ciągle doznaję, jak najrzadszéj gościnności. — Wkrótce pan Aszpener dał mi raz na zawsze wstęp do swojego domu w każdéj porze. Obsypywał mię grzecznościami, woził na spacery w najpiękniejsze okolice, biblioteka jego była na moje zawołanie, słowem był tak jak drugim ojcem dla mnie. Zacząłem się tedy trudnić dawaniem lekcyi. Łatwo sobie wyobrazić możecie, jak trudno mi było z początku przybrać powagę i takt nauczyciela. Ileż razy śmiertelne poty biły na mnie przy tłomaczeniu poezyi włoskich i przy lekcyach fortepianu, gdzie się nie czułem zupełnie pewnym! Powoli jednak nabrałem więcéj śmiałości i teraz dzięki Bogu mam cały aplomb nauczycielski. We dwa tygodnie, które szybko zbiegły, panna Sedżuik wróciła z licznem gronem ładnych kuzynek. Trudnoby mi było opisać, ile anielskiéj dobroci z jéj strony doznałem. Dość powiedzieć, że przez cały dzień rozmaicie będąc zatrudnioną, wstawała o szóstéj z rana co dzień w przeciągu trzech miesięcy dla dawania mi lekcyi języka angielskiego, i nie wiem jakiego stopnia łaski byłbym u niéj dostąpił, gdyby moja ociężałość umysłu, fałszywy wstyd i delikatność obawy, ażeby mnie nie wzięto za interesownego pochlebcę, wady których się pozbyć nie mogę, dozwoliły mi zupełnie odpowiedzieć jéj grzeczności. Jakoż zdaje mi się, że odjeżdżając do Nowego Jorku, dość ozięble ze mną się żegnała.

Grono dam przybyłych z Niagary powiększyło liczbę moich uczni. Zacząłem także dawać lekcye w Lenox, gdzie miałem dwanaście uczennic, a pomiędzy niemi Mis Kitty synowicę Panny Sedżuik, piękną jak anioł dziewczynę z niebezpiecznemi czarnemi oczyma. Pomimo że grała na fortepianie tak doskonale jak moja siostra, co rzadko w tym kraju, kazano mi dawać jéj lekcje, czyli raczéj przewracać

karty nót. Chociaż przykro mi było, czuć się tak nieumiejętnym, rozkoszne to jednak dla mnie były lekcje. Grała ona wiele sztuk Herca i Moszelesa, które w szczęśliwych czasach słyszane, głęboko się w pamięć moją wbiły. — Wypisałem jeszcze z Nowego Jorku ulubione warjacje mojéj siostry *sur l'air favori de Joseph* i Dżameroug Czernego. Wtenczas doznawałem chwil rozkosznych, marząc o was wszystkich. Przeszłość i przyszłość w powabnych kolorach, a nawiasem mówiąc, i teraźniejszość, przy tak powabnéj uczennicy, jakby wplecione w tę czarodziejską muzykę, razem się do serca wkradały. Gdybym wam chciał opisywać wszystkie osoby po szczególe, przeszedłbym daleko granice listu. — Doświadczałem ciągle największéj ludzkości i byłem lubiony, niewiem za co, gdyż znacie moją nieśmiałość w towarzystwie, a szczególniéj pomiędzy kobietami — to moje powodzenie, tém jest dziwniejszém, że, jak to wspomniałem, charakterystyczną nieledwie Amerykanów cechą jest nieufność ku cudzoziemcom, i podobne postępowanie, jak względem mnie familii Sedżuik i Aszpener, jest nie ledwo bezprzykładném. — Tak spędziłm lato i część jesieni, prawie po siedm godzin codzień zatrudniony, przytém w ciągłym ruchu i natężeniu sił fizycznych i moralnych, że prawie nie miałem czasu oddać się własnym myślom. Wprawdzie często wpośród tych roztargnień, czułem tęsknotę i czczość serca; czułem, że nic nam zastąpić nie zdoła drogiéj ojczyzny i szczęścia domowego, i że nikt i nic nie zdoła zastąpić mi Was! Pod zimę panna Sedżuik z wielą jeszcze osobami oddaliła się do Nowego Jorku, i ja będąc wolniejszy, miałem więcéj czasu oddać się sobie samemu. Z przyjemnością rozpamiętywałem minione chwile szczęśliwe; ale sroga zima, długie i często samotne wieczory, jednostajny widok rozkosznéj w lecie doliny, wówczas zagrzebanéj pod czterema stopami śniegu, często i żywo przywodził mi na pamięć, też same myśli, które się nakoniec zmieniły w rodzaj słabości i posępnéj melancholii, jakowéj już pozaprzeszłéj wiosny doświadczałem na stepach Bessarabskich. Zdziwaczałem nieco, wiele od siebie poodstręczałem osób, prócz starego jednak Anglika, który ile razy mnie zobaczył przestępującego próg swego dziedzińca, już z sieni krzyczał: »*Ho, Ho! comment va mon Ami Kossosko!*« toż i poczciwa Fanny widząc mnie smutnego, starała się rozrywać różnemi dziecinnemi figlami. — Ale to wszystko minęło z wiosną, teraz jestem zdrów zupełnie fizycznie i moralnie. Żem się tu dotąd nie zakochał, gdyż spodziewam się że o tym przedmiocie dozwolicie mi mówić z całą synowską otwartością, to dla tego, że mając myśli wyłącznie zwrócone ku wam, żaden przedmiot nie może na długo mnie zająć, a przytém Fanny, kochana moja uczennica ma dopiero lat dwanaście. O samym kraju nie wiele mógłbym wam powiedzieć, gdyż go za mało znam jeszcze. Wolność i wykorzenione przesądy, spokojny umysł mieszkańców, czynią go bardzo szczęśliwym. Z drugiéj strony widzę za nadto fanatyzmu i intolerancyi pomiędzy rozmaitemi sektami, za nadto wielkie przywiązanie do pieniędzy. W reszcie natura ludzka mniéj więcéj podobno wszędzie jednakowa. Klimat tylko jest tu nieprzyjemny, z powodu raptownych przechodów z zimy do lata i z lata do zimy. Odmieniłem się trochę — urosłem i zmężniałem — ale nie jestem tym olbrzymem, na jakowgo się zanosiło. Termin do którego tu byłem zgodzony expiruje 6. Maja. Jeżeli tu nie pozostanę dłużéj, spodziewam się otrzymać miejsce przez panią Sedżuik w jednéj szkole niedaleko Bostonu; albo przez pana Maneska we wsi Batwji o 12 mil od Bufalo, miasta na granicach Kanady i bardzo blisko Njagary, którą pragnę zwiedzić. W każdym razie mam przeszło 40 talarów w zapasie, za które żyć mogę, nim sobie co upatrzę. Upraszam was najmocniéj, ażebyście mi pieniędzy nie przysyłali. Wam to może być uszczerbkiem, a mnie bogatszym nie uczyni w kraju, gdzie pieniędzy podostatkiem, a gdzie z tego powodu nasze szlacheckie majątki wydałyby się zerem. Nietroszczcie się drodzy rodzice, jestem już na takiéj drodze, że sobie potrafię dać radę i chociaż mi się zdaje widzieć uśmiech na twarzy mojego stryja, przecież śmiało twierdzę iż nawet uda mi się może i oszczędzić co na dalsze wypadki.

Piękna fanariotka.

(Zofija Potocka.)

Pan hrabia de Lagarde, który kilka lat swego tułactwa przepędził w domu Szczęsnego Potockiego, a którego imie znane nam z przekładu dość miernego Zofijówki Trębeckiego — pisze teraz pamiętniki o zdarzeniach i osobach swojéj wędrówki po świecie. Z pomiędzy wielu zajmujących ustępów, interesującym jest dla nas pobyt jego w Tulczynie, i rysunek Zofii Potockiéj, schlebiony wprawdzie, jakby autor dotąd zostawał pod urokiem jéj prześlicznych oczu, ale zkąd inąd obfitujący w ciekawe szczegóły.

Życie Zofii, pięknéj fanariotki — mówi pan Lagarde — któréj piękność weszła w przysłowie, byłoby ustępem osobliwym w historyi jéj czasu, choć-

by tylko z tego względu, że podwakroć sprzedaną została, raz przez matkę, drugi raz przez męża. Okoliczność ta dostateczną jest do wzbudzenia uwagi nad istotą przechodzącą tyle dziwnych kolei losu. Lecz kto jak ja patrzał na przepych ich festynów, zbytkowność strojów, wspaniałość dworu, na obszerność jéj potęgi — potęgi powiadam, posiadała bowiem dwadzieścia miast, przeszło sto wsi, zaludnionych stoma tysiącami dusz na przestrzeni mil czterdziestu pośród bujnéj Ukrainy; kto patrzał na to, i pomyśli nad niskością stanu w którym ją postawiło urodzenie, ten się musi zdumieć nad czarnoksięzką sztuką miłości, która swoich oblubieńców z najniższego szczebla do najwyższego podnosi.

Zofia urodziła się w Konstantynopolu. Wiadomo, że większa część znakomitych rodzin greckich zamieszkujących to miasto, doznała ogromnych przemian losu, z powodu wstrząśnień politycznych. Nie jest rzeczą nadzwyczajną spotykać na fanarze potomków starożytnych familii książęcych przywiedzionych do najwyższego upodlenia i ubóstwa, a tém samém zmuszonych do utrzymania życia rzemiosłem lub innym zarobkiem.

W wązkiéj, ciemnéj uliczce niedaleko pałacu poselstwa Szwedzkiego mieszkał rzemieślnik, ubogi, choć jak mówiono pochodzący od cesarzów Komnenów. Pomiędzy kilkorgiem dzieci, miał on córkę, któréj rozwijające się powaby wzbudzały podziwienie we wszystkich sąsiadach.

Pan B... ambasador do Wysokiéj Porty na lat kilka przed rewolucyą francuzką, przejeżdżał się pewnego dnia konno po wązkich ulicach przedmieścia Pera, z orszakiem jańczarów należących do pałacu ambasady. W gronie dzieci bawiących się przy grobowcu sławnego renegata, hrabi Bonneval, postrzegł był dziewczynkę mającą około lat czternastu, ale tak wysokiéj piękności, na jaką się tylko Grecya zdobyć może. Uderzony regularnością jéj rysów, kształtem kibici, ogniem oczu, zatrzymuje się i przywołuje do siebie. Że zaś potęga ambasadora wielką jest w Pera, dziewczyna usłuchała rozkazu. Margrabia natychmiast zeskoczył z konia, zapytał o nazwisko i o rodziców.

»Nazywam się Zofia,« odpowiedziała piękna dziewczyna. »Jesteśmy Grecy, ród nasz ma być znaczny, jak matka nam powiada; aleśmy podupadli przez różne nieszczęścia, i mój ojciec jest teraz piekarzem.«

Ambasador zostaje oślepiony czarodziejską jéj urodą; głos jéj mile go przenika; a rozsądek prosty i rozwinięty w tak młodem dziecku zdziwienie obudza. Po kilku jeszcze zapytaniach uczynionych Zofii, oddala się, poleciwszy jéj, aby powiedziała swéj matce, że ją czeka nazajutrz w pałacu ambasady francuzkiéj.

Na drugi dzień biedna matka stawiła się przed margrabią. Po różnych zapytaniach względem jéj położenia, wyznała ze łzami, iż zostaje w najopłakańszéj nędzy, że zarobek niewystarcza na utrzymanie życia, i że wierzyciele nie mają litości nad ich ubóstwem. Margrabia przekłada jéj, iż chciałby zająć się losem Zofii, zawieść ją z sobą do Francyi, i przyszłość obmyślić — w końcu ofiaruje matce 1500 piastrów na najnaglejsze potrzeby. Z razu matka ani chce słyszeć o tym targu, lecz z jednéj strony przedstawiający się jéj zysk pieniężny z którym mogą się skończyć kłopoty domowe, z drugiéj świetny los otwierający się córce, tyle sprawiły na umyśle greczynki, że po niejakich jeszcze wahaniach się, płaczach, łamaniach rąk, przystaje na ową wielką dla serca ofiarę. Podpisawszy kontrakt sprzedaży dziecięcia, ma sobie wyliczoną summę przyobiecaną przez ambasadora. — Oburza nas ten targ, ale na Wschodzie, gdzie kobieta jest tylko towarem, niezwróciłby na siebie nawet uwagi.

Margrabia stawszy się teraz niejako ojcem Zofii, najsumienniéj dopełniał nowych obowiązków. Zajął się zaraz jéj wychowaniem, które, jak łatwo wnosić, niedaleko było posunięte; otoczył ją wszystkiemi wygodami, przybrał nauczycieli, i dopomagał rozwijaniu się władz umysłowych, i gdy w parę lat potém dwór go odwołał, Zofia w szesnastu leciech, stała się wzorem piękności i udoskonalenia.

W powrocie do Francyi, niechcąc narażać swéj wychowanki na niebespieczeństwa podróży morskiéj, postanowił odbyć tę drogę przez Polskę i Niemcy. Tak więc wykradłszy ze Wschodu jeden z jego najwspanialszych skarbów, przybył do Kamieńca Podolskiego, pierwszéj twierdzy na pograniczu Polski.

Hrabia Jan Witt, potomek wielkiego pensyonaryjusza holenderskiego był gubernatorem twierdzy. Przyjął on dostojnego gościa z całą uprzejmością i honorami, prosząc go, by dla wypoczynku po niewygodach podróży, przeciągnął swój pobyt w Kamieńcu. Zdaje się że względy winne godności margrabiego, nie były jedynym powodem do tylu uprzejmych nadskakiwań. Gubernator ledwo ujrzał Zofię, już był podbity jéj wdziękami. Dowiedziaszy się od niéj o jéj położeniu dwóznacznêm; przytém widząc że niezajmuje miejsca ani pani, ani sługi, że jest niejako rodzajem sprzętu kupionego za tysiąc pięć set piastrów, niewahał się po oświadczeniu się z miłością, okazać swą gotowość wejścia z nią w śluby małżeńskie. Hrabia piękny mężczyzna, nieli-

czący więcéj nad lat trzydzieści, piastował znakomitą godność w Rzeczypospolitéj. — Przebiegła Greczynka niewahała się korzystać z usmiechającego się losu, i skwapliwie przyjęła oświadczenie Gubernatora.

Łatwo przypuścić że ambasador nigdyby niezezwolił dobrowolnie na roździał z tym skarbem, do którego tyle przywiązywał ceny. Hrabia czekał więc téj chwili, w ktoréj ambasador wyjechał na konną przejazdkę za bramy Kamieńca, i natychmiast kazał pozwodzić mosty, pozamykać bramy, i sam udał się z Zofiją do kościoła, gdzie ksiądz pobłogosławił parę.

Podczas gdy się obrządek odprawiał przy biciu we wszystkie dzwony, i przy odgłosie dział wałowych, margrabia zdziwiony widokiem pozwodzonych mostów, stał przed bramą i wołał by go wpuszczono. — Teraz dopiero uwiadomiono go o wszystkiem listownie, a dla większego upewnienia o prawdzie i ważności zaszłych wypadków, pokazano intercyzę ślubną ze wszystkiemi prawnościami, jak to zwykle się trafia przy rozwiązaniu komedyi.

Dla uniknienia wymówień poniekąd bardzo słusznych, któreby ściągnęła na siebie Zofia przez swą niewdzięczność dla pierwszego dobroczyńcy, gubernator dał do zrozumienia dworzanom i służbie ambasadora, aby czemprędzéj pakowali powozy i tłumoki, i wynosili się za swoim panem, który ich czeka pod murami twierdzy; przyczém odesłał ambasadorowi wszystko, co tylko Zofia miała od niego, niezapomniawszy nawet i o 1500 piastrach. Zofia dołączyła list, tłumacząc się i uniewinniając z swego postępku względem człowieka który ją wyrwał z nędzy i zapomnienia. Margrabiemu niepozostało, jak przeklinać traf nieszczęśliwy, który go sprowadził do Kamieńca; gniewał się, przysięgał zemstę, lubo wewnętrznie przekonany, że dwa dwory niewydadza sobie wojny o Helenę wydartą Menelajowi. Rzucając więc ostatnie spojrzenie na baszty twierdzy, dał sobie słowo niekupczyć więcéj towarem, którego łatwo nabyć, ale łatwiéj stracić można.

(Dokończenie nastąpi.)

MODY. — Paryż, dn. 9. Sierpnia 1842. — Kształt sukien trwa dotąd niezmieniony, przeważają jednak staniki à l'enfant, a na plecach ściągane w fałdy. Szlafroczki z gładkim stanikiem bywają często z przodu otwarte i mają wielkie wyłogi, które nazywają revers à la Robespierre. Do takiego stanika użyć można tak zwaną guimpe, kończącą się w wodę.

Zbyt szczupłe rękawy mniéj są używane, jak półobszerne, a to przypisać należy lekkości tkanin, których teraz mnóstwo noszą, ale ulubione są także u sukien z podobnych tkanin rękawy amadysowe, kończące się u ramion w jednę lub kilka falban lub w garnitur à la vieille.

Mniéj więcéj długie peleryny zawsze są modne. Niektóre modystki robią suknie tylko z pelerynami, te zaś najczęściéj nie są wielkie.

Powłoki u sukien skracają się i obsadzają zakładami, paskami wszytemi, falbanami, fręzlami i t. d., często przenoszą nad ten rodzaj wystroju, garnitur fartuszkowy, który lepiéj wydaje się na tęgich i bogatych tkaninach.

Tkaniny na wielką żałobę są: alepin, muślin wełniany, bareż wełniany i krepa. Na zwyczajną żałobę biorą, balzarine, czarny tul i czarne koronki. Na półżałobę wszystkie tkaniny w kolorach szarych, czarnych, szarobiałych we wszystkich odcieniach.

Negliż ranny. Szlafroczek z białego batystu z siedmiu małemi zakładami i wązką walensiańską koronką. Czepek z haftowanego muślinu z szerokiemi barbami, oszytemi mechelnską koronką.

Toaleta na wyjście. Suknia z białego pekinu w prążki szerokie w kolorze jabłek zielonych. Długi szal z białéj koronki, różowo podszyty. Kapelusz ryżowy à la vieille. Parasolik douairière zwany.

Toaleta na wieczory. Suknia tulowa o trzech powłokach i z stanikiem zmarszczanym. Wielki bukiet z gwoździków naturalnych w środku stanika. Strój głowy z gwoździków naturalnych z paskami. Rękawiczki bez palcy z białych koronek.

Objaśnienie ryciny.

1. Najnowszy czepek, zdobny kwiatami i wstążkami. Suknia jedwabna, z krótkiemi rękawami, z obu stron powłoki ukosy i rozetki. Długie siatkowe rękawiczki.
2. Czepek jak u 1. Suknia bareżowa, z gładkim stanikiem, rękawy Diany z białéj koronki, na powłoce ukosy. U stanika jedwabna wstążka.
3. Diadem na głowie. Suknia muślinowa. Stanik i rękawy w ukosowe zakłady ściągane, a za wystrój powłoki rulki wstążkowe i rozetki.
4. Strój głowy jak u 3. Suknia muślinowa z podwójną powłoką.
5. Krótki surdut z kołnierzem szalikowym. Pantalony w kratę. Kamizelka na jeden rząd guzików.

Redaktor: *N. Kamieński*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


A. Brückner. sc.